№ 68. Warszawa, dnia 11 (23) Sierpnia 1872 roku. Tom II. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

CLAUDE BERNARD

I NOWOŻYTNY MATERYALIZM.

Ciąg dalszy. (*Ob. Nr. 67*).



Możnaż sprowadzić zmiany w organizmie działając wprost na jajo lub na zaród? Nie ma wątpliwości, że pewne zmiany dadzą się sprowadzić w pewnych granicach w kierunku rozwojowym jestestwa, nie zrywając z tradycyą organiczną, przez wpływanie na organizm rodzicielski podczas wydzielania jajka, lub też sprowadzając rozwój jajka w pewnych środkach i działając na nie za pomocą sztucznego zapłodnienia w nowych zupełnie warunkach. Trudno temu przeszkodzić, aby pewne działacze, wpływające na żyjący organizm w pewnych okolicznościach, nie wywołały zmian, stanowiących cechy nowego gatunku. Gdyż gatunki należy pojmować jako wynik nieokreślonéj trwałości ich warunków bytu i odżywiania, spowodowanéj uprzednim, przez przodków im udzielonym organicznym kierunkiem rozwoju. Wrodzone wadliwości uważane dotąd jako niemożebne do utrwalenia, chyba po bardzo długim czasie, mogą czasami zjawić się nagle i potém przenosić się z pokolenia w pokolenie dziedzicznie i takim sposobem przyczynić się do wytworzenia nowego gatunku. A wady wrodzone są bez zaprzeczenia w ścisłym związku ze zmianą w odżywieniu zarodka. Organizm żyjący może nawet podczas swego życia, pod wpływem działaczy kosmicznych i innych, nabyć rozmaite prawidłowe lub chorobliwe przymioty, które potém przechodzą dziedzicznie na następne pokolenia. Słowem, działając za pomocą odżywienia czy to na jajko, czy na zaród, czy też na dorosłe indywiduum, można spowodować zmiany tak roślin jak i zwierząt i wytworzyć nawet nowe gatunki. *Tradycya organiczna* czyli *dziedziczność* jest tylko dalszym ciągiem czyli wspomnieniem, pamięcią niejako, dawniejszych stanów, przez które jestestwo przechodziło. Łatwo więc pojąć, że zmiany odżywienia organizmu, wprowadzone stale, mogą się połączyć z tradycyą organiczną przodków i przejść dziedzicznie na następne pokolenia. Możnaby nawet przypuścić, że te zmiany często i w rozmaity sposób powtarzane, zdołają w końcu zniszczyć lub zmniejszyć wpływ atawizmu. Lecz nauka nie wyjaśni tych okoliczności dopóty, dopóki nie będzie w stanie oznaczyć ściśle w środku wewnętrznym ogólnych warunków odżywienia wszystkich pierwiastków histologicznych, jako też i szczególnych bodźców odżywienia właściwych każdemu z nich. Prosta komórka zwierzęca lub roślinna, która w zwyczajnych okolicznościach zachowuje się zupełnie obojętnie, przybiera zupełnie inny rozwój, gdy jéj odżywcze warunki zmienimy. Zmieniając wewnętrzne, odżywcze i rozwojowe środki, i działając na organiczną materyę w chwili niejako jéj poczęcia, zdaje się iż da się sprowadzić zmiana jéj rozwojowego kierunku a zatém i ostatecznego jéj ukształtowania. Zdawałoby się więc, że moglibyśmy dojść do tego w drodze naukowéj, iżbyśmy byli może w stanie wytwarzać organiczne gatunki, tak jak tworzymy podobnież gatunki mineralne, t. j. żebyśmy mogli sprowadzić *powstawanie organicznych form, zawartych potęgowo w prawach organotwórczych, których to form jednakowo przyroda dotąd jeszcze nieobjawiła.* Wszak geologia nas uczy, że ciała mineralne poprzedziły jestestwa żywotne, a z nauki wiemy o tém, że chemicznie, materya organiczna składa się z substancyj mineralnych. Jednakże, na obecnym stopniu naszych wiadomości *nie jesteśmy w możności wytworzyć materyi organicznéj, tak jak nie jesteśmy w stanie wytworzyć ani odrobiny materyi nieorganicznéj.* Możebyśmy nawet pojąć nie zdołali *odrażnego i samorodnego*, wytworzenia się jajka lub innego organicznego pierwiastku, mogącego się rozwijać dalej i stać *dziedzicznem bez przodków.* Wytworzenie żyjącego jestestwa wprost z materyi nieorganicznéj, gdyby ono mogło być uskutecznione, stanowiłoby *prawdziwe samorodztwo*, lecz ono wymaga znajomości zasady czyli pierwotnéj przyczyny organicznego rozwoju, któréj dotąd nie posiadamy i zapewne nigdy nie posiędziemy.

Jakżeż to więc jeszcze daleko od téj możności, którą Claude Bernard dopuszcza, do owych pewników, które zwolennicy krańcowi teoryi Darwina stawiają i na nich daléj budują! Claude Bernard wskazuje na możność i na drogi, jakimi owiny przejść zdołała w rzeczywistość, lecz ostrzega zarazem, iż dotąd nie przewidujemy nawet, jakim sposobem by można dojść do wykazania, iż to przypuszczenie jest rzeczywistością. Nie wszystko co możebne w teoryi, jest zarazem i rzeczywiste. A tu nawet i teorya nie ma jeszcze najmniejszéj stałéj podstawy.

Przejdźmy teraz do jednego z najważniejszych pytań, t. j. jak sobie Claude Bernard wyobraża stosunek *mózgu* do *władz psychicznych*? W téj mierze stawia on następne zasady: Badając wzajemnie fizyologiczne stosunki różnych pierwiastków, mięsnych i nerwowych, między sobą, przekonywamy się, iż pomimo mnogości, zawisłości i nieskończonéj różnorodności żywotnych mechanizmów, posiłkujących się przymiotami owych pierwiastków, możemy je jednakowo podciągnąć pod następne cztery kategorye, stanowiące ogól-

ną ich formułę; t. j. 1) pierwiastek nerwowy czulny; — 2) pierwiastek nerwowy ośrodkowy;—3) pierwiastek nerwowy ruchu;—i 4) pierwiastek ściągliwy czyli mięśniowy. Pierwiastek nerwowy czulny odbiera wrażenia czyli pobudzenia, pochodzące czy to z zewnątrz, czy też z wewnątrz organizmu; on je przesyła pierwiastkowi ośrodkowemu i działa tym sposobem jako pośredni albo bezpośredni pobudzacz pierwiastku ruchowego. Ośrodek nerwowy, czyli pierwiastek ośrodkowy, jest to komórka nerwowa, w której działanie czulne przemienia się w działanie ruchowe. Budowa anatomiczna téj części, którą ośrodkiem nerwowym nazywamy, jest jeszcze dotąd niesłychanie ciemna. Fizyologia uważa je przecież jako rodzaj sieci czyli przestrzeni nerwowych, do których wchodzą i między sobą się łączą nerwy rozmaitych systemów. W razie *nieświadomego czucia* owa przemiana odbywa się wprost bezpośrednio, tak jakby czucie odbiło się wprost w ruchu, i dla tego nazwano ten rodzaj ruchu *nieświadomego* i *koniecznego*, ruchem *odbitym* czyli *odruchem* (mouvement reflexe). W razie *czucia świadomego*, *wstawia* się pomiędzy czucie i zjawisko odruchu szereg *innych nerwowych zjawisk wyższego rzędu*, warunki pojawienia się których stanowią właśnie owe szczególne nerwowe środki. Te zjawiska pośrednie są jeszcze bardzo ciemne, i o nich da się tylko to powiedzieć, że one jako *zjawiska pośrednie* czyli *psychiczne*, nie zmieniają w niczém mechanizmów nerwowych wziętych same w sobie. Ośrodki nerwowe pierwiastkowe, świadome, istnieją tylko w mózgu czyli w zmyśle wewnętrznym; we wszystkich innych częściach ciała zdają się one być nieświadomemi. Nie można jednak przyjąć, iż one wszystkie są zarówno proste i należą do tego samego rzędu. U zwierząt niższych na przykład są odruchy, mające pozór pewnéj celowości i samowolności; toż samo zdaje się spostrzegać u pewnych jestestw kręgowych, jeśli im głowę się odetnie. Jeśli np. uszczypniemy żabę, po odcięciu głowy, w skórę na bokach lub w okolicy otworu odchodowego, widzimy jak kończyny dolne rzucają się na pensetę i usiłują ją przemocą usunąć. Możnaby zatém, wspólnie z wielu fizyologami przyjąć, że komórki ośrodkowe pierwiastkowe mlecza pacierzowego posiadają rodzaj rozumu, kierującego ruchami i ich współmiernością. Lecz przy bliższém rozważeniu trudno nie dostrzedz, że ten bezwiedny rozum nie posiada ani samodzielności ani woli, i nie jest zdolnym ani *wywołać* ani też *wstrzymać owego odruchu*, będącego zawsze ruchem koniecznym i nieuniknionym. Najwyższém zadaniem fizyologii nerwów jest to: wykryć, jakim sposobem czucie, z początku nieświadome, niejasne, przemienia się pomału, z postępem rozwoju organizacyi, w czucie świadome, powodujące samodzielność? Dla rozwiązania tego zadania trzeba na nie patrzeć ze stanowiska fizyologa i wyrzec się wszelkich filozoficznych przesądów, mamiących nas jedynie. Pozór zjawisk wprowadza nas zawsze w błąd co do ich istoty. I z tego to powodu zdaje się nam zawsze, że świadomość i umysłowość musi być z dwojga jedno, albo nadzmysłowym pierwiastkiem, niezawisłym od organów, albo też wyrobem materyi czującéj i myślącéj. Ani jedno ani drugie nie jest prawdziwém. Czucie nieświadome, czucie świadome i umysłowość są to władze, które *materya nie tworzy, ale które się przez nią objawiają*. Dla tego też te władze (facultés) rozwijają się i jawią, rozkwitając niejako, w miarę tego, jak się rozwijają i jawią histologiczne własności tkani, niezbędne do ich objawienia. Można zatém te same zjawiska uważać równocześnie jako wyniki i jako pierwiastki działania. Przyrządy ruchowe organizmu i organa nerwowe są niczém inném tylko przyrządami mechanicznemi i fizycznemi, wytworzonemi przez organizm. Te mechanizmy są bardziéj zawiłe od mechanizmów w świecie nieżywotnym, lecz pod względem praw, rządzących ich zjawiskami, nie różnią się od nich wcale. Brown Sequard pokazał, że własności pni i ośrodków nerwowych mogą się odrodzić pod wpływem działania sztucznie wstrzykniętéj arteryalnéj krwi. Wtryskiwając krew przez arteryę główną głowy psa, odciętéj od tułowia, widział on ruchy mięśni twarzy i oczu, które zdawały się być dobrowolnie wykonywane. Lecz p. Brown Sequard nie nie nadmienia, czy pies słyszał i widział. Doświadczenia, wykonywane na głowie za pomocą transfuzyi krwi, i okazywające, jak wyraz twarzy się zmienia na przemian, objawiając to życie i bystrość to martwotę, robią na nas zawsze wrażenie czegoś cudownego i niepojętego. Lecz te zjawiska zdają nam się dla tego tylko nadzwyczajnemi, że mieszamy z sobą *przyczyny* ich z ich *warunkami*. My wierzymy niesłusznie w to, że nauka prowadzi do tego przypuszczenia, iż materya rodzi zjawiska, które jéj własności objawiają, a jednak mimowolnie wzdragamy się uwierzyć w to, że materya może mieć własność myślenia i czucia. Dla fizyologa, mającego rzetelne wyobrażenie o przymiotach żywotnych zjawisk, przywrócenie życia i bystrości (intélligence) w głowie, pod wpływem transfuzyi krwi utlenionéj, nie ma nic w sobie zadziwiającego lub nadzwyczajnego. Zadziwiaćby musiało przeciwnie, gdyby to nie nastąpiło. Mózg przedstawia mechanizm, tak obmyślany i uorganizowany, iż za pomocą pewnéj ilości warunków ujawnia zjawiska intellektualne. Otoż jeśli mu się jeden z tych warunków odejmie, np. krew, to trudno oczekiwać aby mógł daléj funkcyonować. Lecz jeśli się mu zwróci krążenie krwi z należytą ostrożnością np. z odpowiednią temperaturą i odpowiedniém ciśnieniem, i nim nastąpi rozkład pierwiastków mózgowych, to mechanizm mózgowy będzie zmuszony, z konieczności, rozwinąć na nowo swe czynności. Mechanizmy żywotne jako mechanizmy, nie różnią się właściwie od mechanizmów nieżywotnych. Gdy np. w zegarku zniszczymy kółko, nikt się nie zadziwi jeśli jego mechanizm stanie; lecz jeśli odjęte kółko zostanie inném, odpowiedniém zastąpione, któżby się mógł dziwić, że zegarek napowrót iść zaczął? Lecz nikt nie będzie się czuł z tego powodu w obowiązku *wyciągnąć ztąd ten wniosek*, *że przyczyna podziału czasu na godziny, minuty i sekundy*, który to podział zegar pokazuje, *spoczywa we własnościach miedzi lub materyału, z którego składają się skazówki lub jego mechanizm*. Tak samo, jeśli się widzi, że bystrość i życie wracają do mózgu i do fizyonomii, którym się wraca krew, a któréj brak im nie pozwalał funkcyonować, byłoby niesłusznem, *gdybyśmy w tém chcieli upatrywać dowód, że intelligencya spoczywa we krwi lub substancyi mózgowéj*. Nie wypada zatém wyprowadzać ztąd wniosków, które logicznie ztąd wyprowadzić się nie dadzą. Dla fizyologa są to tylko żywotne mechanizmy, którym *raz warunki działania* odjęto, drugi raz powrócono. Pod tym względem powrócenie czynności czy to mięśnia, czy nerwu, czy mózgu, wyjaśnia się jednym i tym samym sposobem. Przywrócenie wszystkich żywotnych zjawisk w mięśniach i nerwach głowy, jakkolwiek się może zdawać rzeczą nader zadziwiającą, wiąże się tutaj wprost z własnościami ciałek krwi. Myśmy w tém wszystkiém powinni stwierdzić jedynie *warunki determinizmu*, niezbędnego dla objawienia się zjawisk czy to żywotnych, czy też nieżywotnych, a nie szukać tłómaczenia mogącego zaprowadzić do *materyalizmu niedorzecznego i bezrozumnego*. Trzeba się w ogóle mocno strzedz, by nie mieszać *funkcyj organów* z *własnościami* organicznéj materyi. We wszystkich przejawach życia *funkcye* przedstawiają się nam jako *zjawiska metafizyczne*, których nie możemy odnieść do budowy materyi saméj w sobie, *własności* zaś *organiczne* przedstawiają się nam przeciwnie jako zjawiska fizyczne lub fizyologiczne, wynikające wprost z saméj materyalnéj budowy. Kwestya materyalizmu i spirytualizmu jest w ogóle w fizyologii bardzo źle postawiona, tak, że bardziéj szkodzi jéj rozwojowi. Nauka bowiem wykazuje, że ani *organiczna* materya, ani materya *nieorganiczna* nie zradzają (engendrent) zjawisk; jedna i druga służy im jedynie przez swoje własności w oznaczonych warunkach jako środek objawienia się. Niepodobna pomyśleć, ażeby jakikolwiek ruch, objawiający się czy to w mechanizmie nieżywotnym, czy też żywotnym, nie dał się mechanicznie wyjaśnić. Lecz z drugiéj strony, materya, jakakolwiekby ona była, sama w sobie zawsze jest pozbawiona samodzielności i niczemu nie daje początku: ona wyraża jedynie przez swoje własności *pomysł*, *ideę* tego, który *stworzył machinę, w czynności będącą*. Ztąd i materya organiczna mózgu, objawiająca zjawiska czucia i umysłowości, właściwe żyjącym jestestwom, *nie ma najmniejszéj świadomości o tych myślach i o tych zjawiskach*, *które przejawia*, tak jak i materya nieorganiczna machiny martwéj, np. zegarka, nie ma żadnéj świadomości ani o ruchach, które wykonywa, ani o godzinie, którą wskazuje, tak jak czcionki i papier nie mają najmniejszéj świadomości o myślach, które odtwarzają i t. d. Powiedzieć, ze *mózg wydziela myśl*, znaczy tyle co powiedzieć, że *zegar wydziela godzinę lub pojęcie czasu*. Mózg i zegar, to dwa mechanizmy, jeden żyjący, drugi martwy, oto cała różnica, lecz to wcale nie przeszkadza temu, aby oba funkcyonowały w warunkach *bezwzględnego fizyczno-chemicznego determinizmu* (oznaczoności). Mózg zawiera rzeczywiście, przez swoją pierwotną budowę, w *potędze* wszystkie zjawiska, które przejawia; trzeba mu tylko do tego pewnych *warunków*, których zbadanie jest zadaniem fizyologii. Tę zasadę możemy zastosować do wszystkich organów. Gruczoły żołądkowe np. posiadają tę wrodzoną własność, że wytwarzają sok żołądkowy. Lecz prawidłowo, ten sok się wydziela zawsze pod wpływem pobudzenia powierzchni żołądka przez potrawy. Możnaż ztąd wyprowadzić wniosek, że *przyczyna wytworzenia soku żołądkowego* spoczywa w potrawach? One stanowią tylko jeden z warunków powodujących wytworzenie się owego soku, wydzielającego się za pomocą mechanizmu, umieszczonego uprzednio od urodzenia w żołądku, tak jak i myśli się jawią w mózgu w skutek *mechanizmu*, mieszczącego się od chwili jego poczęcia i rozwoju, w różnych jego częściach. Słowem niewolno mieszać *przyczyny z warunkami*. Materya *nigdy nie jest niczego przyczyną*; ona stanowi tylko *warunek* zjawisk tak świata nie żywotnego jak i żywotnego.

Sądzimy, że wzwyż określone pojęcia znakomitego autora, któreśmy jak najściśléj oddać usiłowali, są tak jasne i zrozumiałe, iż dla ich wyjaśnienia nic dodać nie widzimy potrzeby. Pozostaje nam jeszcze tylko rzucić okiem na pogląd tegoż autora na zadanie, znaczenie i cel fizyologii, jako też środki, jakiemi ona w tym kierunku rozporządza. (*d. n.*)

FRAGMENT.

Góral skrzydła swéj pieśni chciał szerzéj rozwinąć,
Jakiś bogacz—turysta rozdmuchał te żary:
Radził z Tatrów wspaniałych Dunajcem wypłynąć,
Kazał wybiedz z pieśniami na nizin obszary.
„Na równinach jest mądrość — twój rozum pokrzepi,
U nas głowy potężne—pojmiemy się lepiéj."

Oj! żałośnie też było pasterzom na hali...
Po pieśniach i po piewcy jak dzieci płakali.
I on powiał żałością... zasępił swe czoło,
W szarą gunię ojcową ramiona owinął,
Rzucił płaczem po braciach, po turniach w około,
I szerokim Dunajcem w równiny popłynął.

Huczy gwarem równina: w codziennéj potrzebie
Tysiąc głosów się plącze o złocie i chlebie.
Giną pieśni w tym wirze, zastyga głos ducha...
Na równinach myśl inna, nikt pieśni nie słucha.
Źleś się wybrał pieśniarzu, tu inna uciecha...
Choćbyć żywą krwią serca namaścił swe pieśni,
W wirze przekupstw, bluźnierstwa zamilkną bez echa!
Ludzie równin, góralu, nie bracia rówieśni.

Próżno pieśniarz rwał piersi... choć księgi czytywał,
Próżno szukał nagrody w współczucia iskierce:
Śród złorzeczeń pospólstwa głos pusto rozpływał,
Aż i śpiewak zamilknął—bo pękło mu serce!...

W czterech deskach złożyli góralskiego człeka,
W szaréj guni, co jeszcze na halach wziął na się:
Tylko tyle wyśpiewał?... O! biedny juhasie,
W górach miałbyś, mój bracie, choć trumnę z smereka.

Środkiem tłumu ciekawych człek jakiś się wciska,
(O! ciekawi w równinach zbiegają się tłumnie),
Dotarł gwałtem do trupa i patrzał nań z blizka:
To ów bogacz—turysta, co stanął przy trumnie
I on jeden z równiny zapłakał łzą bratnią;
Bo gdy z bólem serdecznym poglądał po bracie,
Z bladych jagód wyczytał tę skargę ostatnią:
„Macie głowy potężne, lecz serca nie macie."

P.

O PROSZONYM CHLEBIE.

POWIEŚĆ

przez

WALERYĘ MARRENÉ

(Morzkowską).

I.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 67).

— Ha, wyrzekł, rozgadałem się niepotrzebnie; i mnie, i wam zrobiło to przykrość; darmo, doli swojéj nikt nie zmieni. A wy chłopcze, idźcie spać, nie turbujcie się o mnie. Macie dobranoc, niech was Bóg błogosławi!

I nie czekając daléj, może chcąc pozbyć się go, obwinął się płaszczem, włożył torbę pod głowę i przyległ pod krzakiem.

Chłopiec popatrzał jeszcze chwilę na niego zdjęty żalem, i z wolna powrócił do chaty. Ciążyła mu ta wielka niedola, którą dostrzegł w gorzkich zdaniach starca, nie było na nią lekarstwa, przecież pragnął jéj ulżyć. Biedni najłatwiéj zrozumieć ją potrafią i najczęściéj znajdą współczucie.

W kominie ogień dogorywał, a Dąbkowa siedząc przy nim, darła pierze jako jedyną prawie robotę, którą mogły wykonywać jéj niedołężne ręce.

Rzuciła niespokojne wejrzenie na wracającego syna, i dorzuciła szybko smolnego łuczywa, jakby pragnąc rozweselić jego chmurne oblicze i przypatrzyć mu się przy jasnym blasku płomienia.

Stach usiadł przy niéj na ławie, spać mu się nie chciało, nazajutrz była niedziela, nie potrzebował wstawać przed świtem.

— Zkąd to powracasz? spytała troskliwie.

Nie odpowiedział, w głowie jego roiły się słowa starca, przyrównywał je do swojéj własnéj doli.

— Matko, wyrzekł po chwili namysłu: czy to dawno? jak brat mój nie przesłał wam wieści żadnéj.

Z razu nie odpowiedziała, jakby mówić o tém było jéj trudno.

— Miałam-ci, szepnęła starszego syna, ale cóż ztąd? Jak wyrastał nudziło mu się w chałupie nie brał się do chłopskiéj roboty, zachciało mu się lekkiego chleba. Z początku przystał do dworu na chłopca do usługi, późniéj z paniczem pojechał do miasta i nie powrócił więcéj. Płakałam, szukałam, dowiadywałam się próżno; pogardził naszym stanem, nie pamiętny na mnie, com go mlekiem mojém karmiła i pielęgnowała od kolebki.

Skryła twarz w dłoniach i płakała gorzko, jak matki płaczą straconego dziecka; była to widać tajemna rana jéj serca, któréj Stach dotknął nierozważną ręką.

— Nie płaczcie tak, zawołał schylając się do jéj kolan: wszakże ja wam zostałem.

Wstrząsnęła głową z nieujętym wyrazem: obecny nie mógł zastąpić straconego syna. W téj chwili może nawet nie myślała o sobie saméj, o niepewnéj przyszłości, wspomnienie jedno łzy jéj wyciskało, aż wreszcie i ta trwoga dodała jéj goryczy.

— A jak zabiorą mi ciebie Stachu, moje ty dobro jedyne! zawołała obejmując rękoma głowę jego i przygarniając do piersi, jakby obronić go mogła.

— Nie zabiorą mnie matko, wyrzekł podnosząc na nią oczy płonące dziwnym wyrazem: bądź spokojna, jutro poszlę swaty do Maryśki.

Głos, którym wymawiał te słowa, był drżący, namiętny, przecież słowa te zdawały się go dusić. Powstał, odrzucił ręce matki i próbował przejść się po izbie, nie chciał myśleć nad tém co postanowił, blady i posępny, wsparł się o ścianę, w oczach mu się ćmiło, wspomniał Hankę ku któréj rwała się młoda jego dusza, załamał ręce z rozpaczą.

Stało się, zwyciężyła go konieczność.

Dąbkowa nie widziała tego wszystkiego, ona słyszała tylko ostatnie wyrazy syna dźwięczące nadzieją.

— A tobież, moje dziecko, spytała cicho, czy dobrze będzie z nią?

Przyszło jéj może na myśl opowiadanie Wickowéj, może przed nią także przesunęło się blade widmo biednéj Hanki, ale nie wymówiła jéj imienia: czyż syn nie czynił sam rozsądnego wyboru? czy Plaskotowie nie byli najbogatszymi gospodarzami we wsi?

— Dla czegożby mi dobrze nie było? podchwycił Stach, jak gdyby chciał samego siebie ogłuszyć.

Przecież gdy usta jego wymawiały te słowa, oczy zadawały im wyraźne kłamstwo.

Dąbkowa umilkła; po cóż miała badać więcéj? twarz syna wypowiadała jego tajemnice; czuła, że cierpiał przecież nie mogła odrzucać jego ofiary, ona także rozumiała konieczność. A zresztą serca chłopców bywają zmienne jak podmuchy burzy; jutro on mógł zapomnieć młodzieńczéj miłości, zwrócić serce do bogatéj dziewczyny co ze swoją ręką zapewniała mu przyszłość. Cierpienie minąć miało a rzeczywistość pozostać.

Tego wieczoru ona powinna była zasnąć spokojnie; jednak nie wiedzieć czemu ciężko jéj było na sercu i długo w nocy szeptała modlitwy aż sen skleił jéj oczy zmordowane.

Nazajutrz była niedziela. Listopadowe słońce oświecało blado krajobraz pozbawiony barw, smutny, szary, przewiędły. Na drzewach gdzie niegdzie tylko wiatr szeleściał zwiędłym liściem chmury ciemne wlokły się leniwo po niebie, rzucając na pagórki i lasy znikome olbrzymie cienie. Stach zerwał się rano, przetarł oczy i cały wczorajszy wieczór stanął mu w myśli, a serce ścisnęło się w piersi. Wyszedł z chaty, chcąc odszukać dziada którego spotkanie tak przeważnie wpłynęło na postanowienie jego; ale zastał tylko wpośród tarnicy wytrząśnięty popiół z fajki, żebrak razem ze wschodem słońca powlókł się daléj, gdzieś w świat pomiędzy obcych, jak mówił. Wspomnienie dziwnego włóczęgi pozostało mu w pamięci. W ponurém milczeniu poszedł do zwykłych zatrudnień. Dzień wczorajszy brzemiennym był dla niego bolem; powziął przedsięwzięcie, które trudno mu było wykonać, siły jego nie sprostały chęciom.

Był to dzień niedzielny; lud tłumnie zbierał się do kościołka, który się wznosił na urwistéj górze otoczonéj wieńcem lip starych, w jesiennem słońcu krzyżyk złocony umieszczony na wierzchołku jego rysował się jasny, błyszczący. Gromady wieśniaków ustrojonych w świąteczne szaty przeciągały przed chatą Dąbkowéj. Stach patrzał na to z progu; czuł, że i jemu także wypada włożyć nową sukmanę i pójść za niemi, przecież ociągał się: w kościele miał spotkać Hankę, jakiémże czołem spojrzałby na nią on, co wczoraj jeszcze przysięgał, że nic serca jego od niéj odwrócić nie zdoła? Serce jego pozostało wiernem może do śmierci, ale cóż ztąd—cóż Hance przyjść mogło z podobnéj wierności? a jemu samemu nie miałoż to być próżnym bolem tylko.

— Czas ci do kościoła Stachu, ogarnij się, mówiła matka, któréj trudno było wdrapać się na górę kościelną.

— Czas, czas, powtórzył smutno, nie ruszając się z miejsca.

W téj chwili na drodze wiodącéj tuż koło chaty ukazało się kilka kobiet, których jaskrawe chustki i katanki z cienkiego sukna podbite barankami, świadczyły o zamożnym stanie. Była to Plaskocina z córką, przy nich postępowała Wickowa. Widząc Stacha, trąciła łokciem Maryśkę.

— Ot widzisz, szepnęła, stoi i wypatruje ciebie.

Ale dziewczyna odrzekła wzruszając ramionami:

— Abo to na mnie patrzy? Ot zwyczajnie stoi przy drodze. Czy to we wsi mało dziewuch?

— Oj! nie udawałabyś Maryśko, mówiła stara pochlebnica: ty wiesz dobrze, iż takiéj drugiéj raźnéj i dostatniéj nie łatwo znaleźć.

Maryśka rozśmiała się szeroko, i kontenta

z siebie poprawiła chustkę czerwoną nad czołem, za którą zatknęła w braku naturalnych, kilka sztucznych złocistych kwiatów.

— Cóż to Stachu, odezwała się Wickowa, nie przecięż nie mógł zdobyć się na żadne słowo, tylko utkwił w Maryśce ogniste oczy, smutne jak noc jesienna, i zacisnął ręce w bezsilnéj rozpaczy.

— Przyjdę ja tam za wami, wyrzekł wreszcie Stach; przyjdę zaraz.

I wbiegł do chałupy.

Plaskocina tymczasem odeszła kawał naprzód, i obejrzała się za córką i kumą. Była to kobieta pięćdziesięcioletnia, ostrych rysów i szorstkiéj powierzchowności.

— No, cóż tam stoicie? zawołała.

Maryśka i Wickowa niechętnie odwróciły karku bo rade były doczekać się Stacha; ale z Plaskociną nie było żartu, umiała ona rządzić wszystkimi, i tylko dla jedynaczki swojéj była pobłażająca.

II.

— A uważałaś ty, jak się Stach zmieszał gdy cię zobaczył? mówiła półgłosem Wickowa do Maryśki.

WIDOKI GDAŃSKA.



Kościół Panny Maryi.



Ratusz i Giełda.



Brama wjazdowa.



Arsenał.

izdiecie do kościoła?

Chłopak tak zagadnięty, w obec dziewczyny, do któréj dziś jeszcze miał swaty posyłać, musiał odpowiedzieć i starać się jéj przypodobać;

— Poszedłbyś z nami chłopcze, odezwała się niezrażona Wickowa, pomodlić się o dobrą żonę.

Maryśka pociągnęła ją za suknię zapłoniona, chcąc przeszkodzić mówić daléj.

Dziewczyna nie wątpiła o tém. Była ładna i wiedziała o tém; mówiła jéj to co chwila nierozsądna matka, pochlebne kumoszki i chłopcy, którym pospolita jéj twarz przypadała do sma-

ku. Tłusta, raźna, barczysta, o rumianych okrągłych policzkach szerokich ustach, stanowiła doskonały typ wiejskiéj piękności. Zresztą była to niezła dziewczyna, trochę zakochana w sobie, trochę zarozumiała, zalotna i przekonana, że świat cały powinien jéj ulegać, a ona nie miała innego obowiązku jak stroić się, śmiać, bawić i bałamucić, bo wieść niosła, że pisarz dworski miał dla niéj szczególne względy. Żadna myśl poważniejsza nie przeszła jéj przez głowę. Wiedziała, że co niedziela ona będzie najpiękniéj ubrana w kościele i najwięcéj rozrywana wieczorem w karczmie do tańca, że wszyscy parobcy i chłopcy okoliczni dobijać się będą o jéj rękę. Teraz więc pomimo wołania matki nie śpieszyła się wcale; korciło ją to tylko, że Stach na nią nie zwracał uwagi i może ze złości uśmiechała się do pisarza.

— Chodź tu, chodź tu, wołała Plaskocina.

— A cóż to odezwała się córka, ucieknie wam kościół czy co? Jeszcze na summę nie sygnują.

Matka wzruszyła ramionami, jak to uczyniła ile razy Maryśka dawała jéj dowody lekceważenia, ale mimowolnie nawykła iść za jéj wolą, zwolniła kroku.

Stach też ubrał się, wyszedł na drogę i zbliżał się do Wickowéj i jéj towarzyszek: zbliżał się jednak powoli, serce jego zamierało w piersiach, czuł, że przeniewierza się samemu sobie, i coś w nim oburzało się przeciw własnym postępkom. Przecież przystąpił do Maryśki, powitał Wickową, ukłonił się z uszanowaniem Plaskocinie, jak przystało na zalotnika jéj córki, i wszyscy razem poszli do kościoła. Był jednak smutny, ponury nawet; natury nieprzywykłe do sztucznéj atmosfery świata z trudnością odgrywają komedyę. Wprawdzie Stach próbował wmówić w siebie, że Maryśka była ładna, bo tak utrzymywali wszyscy jednozgodnie; jemu jednak ta piękność nie była do smaku, on nie lubił jej zaczepnéj mowy i głośnego śmiechu, a każdy ruch i wyraz téj dziewczyny odpychał go, nie wiedzieć czemu.

Szczęściem droga do kościoła długą nie była, do gromadki ich dołączyli się po drodze sąsiedzi, znajomi, krewni, a on nie znał światowego obowiązku bawienia kobiet rozmową, mógł więc milczeć swobodnie. Postępował też około Maryśki jak winowajca prowadzony na śmierć, a zamiast w udatną postać dziewczyny spoglądał w ziemię. Tak doszli do cmentarnéj bramy. Msza jeszcze nie była zaczęta, ludzie stali tu i owdzie kupkami, rozmawiając w oczekiwaniu kościelnego dzwonka. Stach powiódł wzrokiem w około i zachwiał się, jakby ugodzony w piersi niewidzialnym nożem.



KOTKI. Kopia z obrazu Meyerheima.

Niedaleko od drzwi kościelnych stała Hanka. Oczy ich skrzyżowały się; głębokie czarne źrenice dziewczyny zaszły mgłą, i spoczęły na nim, bez gniewu, bez wyrzutu żadnego, ale z takim smutkiem, jak gdyby serce jéj pęknąć miało. Podniosła z wolna rękę do czoła i wsparła się plecami o kościelną ścianę; twarz jéj pobladła, tak że koralowe usta nawet straciły barwę swoją i zbielałe drżały lekko poruszane cichemi słowami skargi czy modlitwy. W téj chwili nie widziała ona złośliwego spojrzenia Wickowéj, nie słyszała litosnych i szyderczych szeptów, świat cały zniknął jéj z oczu, widziała tylko Stacha przy Maryśce. Stało się to, czego lękała się więcéj niż śmierci, a co jednak czuła że nastąpić musi, tylko kiedyś, nie tak zaraz, nie dzisiaj. Cierpienie to nie było dla niéj nowością żadną: dzieckiem jeszcze łamać się nawykła z twardym losem, ze złą wolą ludzką, z opuszczeniem i sieroctwem. Stach był dla niéj jedynym błyskiem nadziei, jedyną gwiazdą zbawczą wpośród trudnego życia, kochała go jak sie-

roty kochać umieją; przecież czuła od dawna, że szczęście to nie było dla niéj, wiedziała o konieczności ciążącéj nad nim, przygotowywała się nieraz w myśli na tę chwilę, a teraz przenieść nie mogła. Nie miała siły usunąć się od drzwi kościelnych, nie było też nikogo aby ją wsparł, pokrzepił lub wlał słowo pociechy w jéj zakrwawione serce; stała tak że wchodzący otrzeć się prawie musieli. Plaskocina minęła ją dumnie jak zwykle, Wickowa miała wielką ochotę spojrzeć urągliwie w oczy sieroty, ale było coś takiego w jéj postawie, że mimowolnie spuściła wzrok, i czém prędzéj weszła do kościoła.

Hanka podobna była do męczennicy wymalowanéj w ołtarzu kościołka, która otoczona dzikiemi zwierzętami, podnosi błagalny wzrok w niebo, i skamieniała, bezbronna, stoi w obec śmierci. Maryśka nawet nie zważała na to, może nie miała pojęcia o tém co działo się w jéj piersi, nie przywykła nigdy zważać na drugich ani troskać się co oni czuli. Rada, że miała przy sobie Stacha, odezwała się przechodząc:

— Czegoż tu czekasz Hanko? chodź z nami, czas na mszę.

Hanka nie ruszyła się z miejsca, w głowie jéj się kręciło, nie dosłyszała może nawet co mówiła Maryśka.

Ona też wzruszyła ramionami i poszła.

Stach szedł ostatni. Przystanął chwilę.

(d. c. n.)

KORESPONDENCYA

Lwów w Sierpniu.

Biorącemu za pióro dla zaregestrowania wypadków zeszłego miesiąca przedewszystkiém nasuwa się wiadomość o stracie, jaką poniosła literatura przez śmierć Adama Pajgerta, poety, zajmującego w rzędzie spółczesnych pisarzy znakomite stanowisko. Pomimo że pisał wiele i że poezye jego oryginalne, równie jak i bardzo liczne przekłady poetów obcych, noszą cechę wyższego talentu poetycznego i należą do prawdziwych ozdób naszéj literatury, pomimo tego był Pajgert za życia za mało znany i ceniony stosunkowo do swéj wartości i zasługi, dla tego, iż żyjąc zdala od literackiego zgiełku, oddany pracy umysłowéj, która śród licznych zajęć powszednich gospodarskich na wsi, była najmilszą dlań ucieczką i wytchnieniem, nie mieszał się w ów ruchliwy wir dzienikarsko-literacki, na którego powierzchnię wypływa zazwyczaj co błyskotliwsze i krzykliwsze, a prawdziwa zasługa najczęściéj pozostaje na dnie jak perła w konsze zamknięta. Liczne poezye Pajgerta znajdujemy rozrzucone po wszystkich spółczesnych czasopismach; najwięcéj umieszczał ich w *Dzienniku literackim* wychodzącym przed dziesięciu laty we Lwowie, którego dział poetyczny obficie zasilał wspólnie z Kornelem Ujejskim, Romanem Zmorskim, Jabłońskim, Mieczysławem Romanowskim. Obszerniejszych rozmiarów poemat jego *Kadmea*, którego treść wzięta z dziejów Grecyi, drukowany był w *Bibliotece Zakładu Ossolinskich*. Jako tłómacz zajmuje Pajgert, można powiedzieć, pierwsze miejsce w młodszém pokoleniu naszych pisarzy: taką niewymuszoną swobodą i takiém pochwyceniem ducha oryginału obok dosłownego niemal powtórzenia treści odznaczają się jego przekłady czy to mniejszych czy większych utworów. Tłumaczył bardzo wiele. Ze wszystkich niemal znakomitszych poetów przyswoił coś literaturze ojczystéj. Większych kilka poematów przełożył z Byrona *(Kain, Wyspa)* z Moora *(Raj i Peri)* z Szekspira (*Juliusz Cezar* wydany we Lwowie, a *Henryk IV* pozostał w rękopisie). Podobnież pozostawił w rękopisie przekład *Ginewry* Tennysona i jednego poematu Musseta. Tomik poezyj jego oryginalnych wyszedł we Lwowie jeszcze w r. 1858. Zawiera piękne rzeczy z początkowéj epoki jego pisarskiego zawodu, niedające zatém miary wysokości, do jakiéj następnie rozwinął się jego talent poetyczny. Dopiero w późniejszych poezyach, a mianowicie w *Kadmei*, rozwinął się talent jego w całym blasku. W tym epicznym rapsodzie roztacza się przed okiem czytelnika świat grecki, odmalowany z klassycznym spokojem we wspaniałych, z wielką znajomością i prawdą, wyrażających ducha Grecyi konturach. Poezye Pajgerta posiadają obok plastyki rysunku, niezmiernie wiele ciepła, siły i polotu lirycznego; a przytém odznaczają się głębokością myśli, co ztąd pochodziło, iż umysł jego wielkiemi zasobami nauki wzbogacony z jéj obfitego źródła czerpał natchnienie. W jego rozprawach treści estetycznéj widzimy, iż równie dobrze musiał władać piórem prozaika. Słowem śmierć jego czyni lukę w piśmiennictwie, niełatwo dającą się zapełnić i tém dotkliwszą, iż śmierć przerwała pasmo jego prac i autorskiego zawodu w połowie mety, w sile męzkiego wieku i w pełni talentu. Umarł w 43 roku życia, dnia 21 zeszłego miesiąca u wód we Francensbadzie.

Po téj smutnéj wiadomości chciałbym donieść coś lepszego, pocieszającego; ale gdzież tu znaleźć przedmiot taki w środku lata, w porze kanikularnych upałów, podczas feryj, w téj uprzywilejowanéj porze wypoczynku i próżniactwa, tak pożądanéj dla młodzieży szkolnéj, starych próżniaków i podróżujących do wód całego świata elegantek i wszelkiego kroju modnisiów? Owóż nie sądźcie, ażebyśmy ferye tegoroczne przepędzali tak próżniaczo, jakby się można spodziewać i jak to niegdyś dawniéj, często niestety, bywało. Z pociechą patrzeć przychodzi, że pomimo wakacyj, w pewnych przynajmniéj sferach u nas powiał duch pracy, duch chwalebnéj gorliwości na polu spraw publicznych, i że krzątamy się po trosze w pewnych przynajmniéj punktach, ażeby i czas wakacyj pożytecznie zużytkować.

Zaledwie ostatni dzień roku szkolnego zamknął wrota nauk świątyni, pośpieszyli w połowie lipca z całego kraju wszystkich szkół nauczyciele na zjazd Towarzystwa pedagogicznego do Tarnowa. Jest to jedyne u nas towarzystwo założone w celu przeważnie naukowym, rozwijające się pomyślnie, objawiające siłę żywotną, skutkiem któréj wzrasta i potężnieje. Odbywane co rok zjazdy tego Towarzystwa, są nadzwyczaj pożyteczne, z tego zwłaszcza powodu, iż przybywają na nie po większéj części nauczyciele szkół ludowych, przez rok cały odosobnieni od świata i ruchu umysłowego, nieposiadający środków stykania się z prądem postępu oświaty powszechnéj, skazani żyć w ciasnym obrębie, w którym ich los umieścił, polegając na sobie samych i sobie samym w zawodzie swoim wystarczać zmuszeni. Dla tych wszystkich zetknięcie się raz w rok przynajmniéj z szerszym horyzontem umysłowym, wymiana wzajemna myśli w przedmiotach dotyczących zawodu szkolnego, wywiera zbawienny skutek na postęp wyobrażeń, przyczynia się do jednolitości postępowania pedagogicznego w całym kraju i oswaja nauczycieli z najważniejszemi kwestyami pedagogiczno-dydaktycznemi. Ośmiuset nauczycieli ze wszech stron kraju śpieszyło do Tarnowa z gorącą chęcią spożytkowania jak najlepiéj tych dni kilku poświęconych zjazdowi, skorzystania jak najwięcéj z tego co tam w toku podjętych nad rozmaitemi kwestyami rozpraw usłyszą i dowiedzą się. Śród wielu przedmiotów poruszonych na zjeździe tegorocznym, zajmowało się głównie zgromadzenie sprawą przymusu szkolnego, polepszeniem uposażenia nader nędznego nauczycieli wiejskich, w których to obu sprawach postanowiono poczynić stosowne kroki do sejmu, z zakresu zaś spraw czysto dydaktycznych najsilniejsze zajęcie obudziła wyłuszczona przez prof. Żulińskiego nowa metoda początkowego uczenia arytmetyki i geometryi sposobem wielce ułatwiającym naukę przez przedstawienie dotykalne mechanizmu rachunkowego uczniowi. Była też urządzona wystawa rzeczy szkolnych, dająca dokładny obraz czego, z jakich książek i z jakiemi ułatwieniami uczą w szkołach naszych, a nawet celniejsze wypracowania uczniów z rozmaitych szkół nadesłane znajdowały się na wystawie, z porównania których można było nabrać zarazem wyobrażenia o skuteczności metody w szkołach używanéj, jako po owocach poznaje się dobroć drzewa.

Nie — nie próżnujemy, powtarzam. Nietylko zjazd tarnowski tego dowodem. Rada szkolna rozporządziła, aby przez czas wakacyj w seminaryach nauczycielskich odbył się kurs pedagogiczny dla nauczycieli wiejskich, którzy dawniéj już, przed utworzeniem jeszcze seminaryów nauczycielskich, objąwszy swe posady w szkółkach wiejskich, nie mieli sposobności nabrać uzdatnienia, jakiego przepisy dzisiejsze wymagają, i poznajomić się z naukami obecnie w seminaryach pedagogicznych kandydatom na nauczycieli wiejskich wykładanemi. Rozporządzenie to rady szkolnéj jest bardzo dobre, albowiem nastręcza możność uzupełnienia niedostatków wykształcenia wielkiéj liczbie dawniejszych i starszych nauczycieli, którzy uzdolnienie swe wynieśli z owych bardzo nędznych szkół przygotowawczych, znanych pod nazwą *preparand nauczycielskich*, których miejsce zastąpiły dzisiaj seminarya pedagogiczne. Nauczyciele wiejscy przybywający na kurs wakacyjny umyślnie dla nich urządzony, pobierają zasiłek z funduszów szkolnych krajowych na utrzymanie i koszta podróży, a kurs sześciotygodniowy, dla nich przeznaczony, jest tak urządzony, aby obejmował w treściwém zaokrągleniu główne zasady pedagogii i wiadomości będące podstawą nauk do uzdolnienia nauczycieli wiejskich głównie potrzebnych.

A zatém gdy młodzież wypoczywa, aby odświeżyć umysł do nowéj z kolei pracy i nowych nauk, pracują tymczasem nauczyciele, aby rozszerzyć i wzbogacić zakres własnych wiadomości, które są powołani w młode przelewać pokolenie. Lecz i z innych stron słyszymy o spożytkowaniu wakacyj na korzyść nauki. Professor weterynaryi w szkole dublanskiéj p. Kubicki na wezwanie rady powiatowéj rudeckiéj udał się na prowincyę i odbywa wędrowny popularny kurs weterynaryi na prowincyi. Równocześnie słuchacze techniki tutejszéj udali się pod przewodnictwem jednego z dawniejszych kolegów professora Zbrożka w obwód Żółkiewski, dla czynienia tam pomiarów i zdejmowania mapp, w celu praktycznego zastosowania teoryj nabytych w ciągu roku i skorzystania z wakacyj, dla wyćwiczenia się i zaprawienia do tego rodzaju prac inżynierskich. Gdy już roboty przez parę tygodni trwały, udał się do Żółkwi dyrektor akademii technicznéj prof. Strzelecki, razem z gronem professorów dla rozpatrzenia i sprawdzenia na miejscu prac przez uczniów podjętych. Wynik okazał się bardzo dobry. Professorowie przekonali się, iż uczniowie pracowali przez ten czas gorliwie i dobrze, i że rozumieją rzecz jak należy,

albowiem pomiary okazały się dokładne, a plany i mapy wzorowo wykonane.

Krzątamy się więc i pracujemy, każdy w swoim zawodzie. Nie wszyscy to pewna; ale próżnują najwięcéj ludzie nie mający żadnego zawodu. I nie dziw—do niedawna jeszcze wychowanie tak publiczne jak i domowe nie troszczyło się bynajmniéj o kształcenie specyalne w pewnym jednym kierunku, nie usposobiało do żadnego właściwego zawodu, bo szkoła była obmyślaną tylko dla dostarczenia urzędników i adwokatów, a zresztą z potrzeby i musu byliśmy autodydaktami, a nic tak nie prowadzi do rozstrzelenia się wyobrażeń, do zarozumiałości i próżniactwa, jak spaczony i płytki autodydaktyzm. Dzisiaj zmieniły się rzeczy bardzo korzystnie. System szkół ulepszony, ulepsza się ciągle jeszcze nowemi zmianami, a nad wykształceniem nauczycieli, którzyby system ten należycie pojąwszy w zdolne ujęli ręce i w duchu jego kształcili młodzież, pracuje się ciągle w dobrym kierunku. Objawia się to i w literaturze. Zaczynają wychodzić książki treści pedagogicznéj, czego dawniéj nie bywało, bo o potrzebie kształcenia nauczycieli i dostarczenia im umiejętnych wskazówek prowadzenia szkoły nikt przedtém u nas nie myślał, dopóki szkoła była tak uorganizowana iż żadnego na nią wpływu kraj mieć nie mógł. Dyrektor tutejszego seminaryum pedagogicznego męzkiego p. Zygmunt Sawczyński wydał dzieło d-ra Kelnera: *Pedagogia w urywkach* w polskim przekładzie, a raczéj w przerobieniu, albowiem uzupełnił przekład wielu ustępami, odnoszącemi się wprost do naszych stosunków i potrzeb miejscowych; przez co znakomite w swoim rodzaju dzieło Kelnera, nabrało szczególnéj wartości dla naszych nauczycieli, i stało się źródłem, z którego wiele zdrowych pojęć pedagogicznych nabrać mogą. Chociaż dzieło Kelnera pisane w aforyzmach, nie ujęte niby w system, dotyka naprzemian wszystkich a wszystkich kwestyj pedagogicznych, przeskakując niesystematycznie z jednéj na drugą, atoli zbadawszy bliżéj książkę poznajemy, iż urywki te w których autor objął całość swéj teoryi, tworzą system zupełny, umiejętnie acz bez pedanteryi doktrynerskiéj ułożony. Uzupełniające dzieło uwagi i wplecione w treść ustępy tłómacza, sprowadzają dzieło na swojski nasz grunt i czynią je pożyteczniejszém dla nas. Równocześnie dyrektor tutejszego seminaryum pedagogicznego żeńskiego wydał także *Pedagogię*, obejmującą już więcéj systematycznie ujęty wykład pomienionéj umiejętności pod tytułem: *Szkolnictwo na podstawie historycznego rozwoju i zasad wychowania podług planu przepisanego dla seminaryów nauczycielskich, wyłożył Antoni Luszkiewicz.* Autor rozpoczyna od zaznajomienia czytelnika z zasadniczemi pojęciami psychologii, na któréj opiera system pedagogii. Książka ułożona starannie i pouczająco. Jest to właściwie ogłoszony drukiem podręcznik, którym autor posługuje się w swym wykładzie pedagogii dla kandydatek na nauczycielki w seminaryum, którego jest przełożonym. Tegoż samego przedmiotu dotyka, ale ze strony bardziéj praktycznej niejako traktat *in anima vili*, książka a raczéj broszura *O wadach szkolnictwa pruskiego* przez Maksymiliana Kawczyńskiego. Wysłani zeszłego lata przez towarzystwo pedagogiczne professorowie Samolewicz i Benoni dla zbadania organizacyi szkół pruskich, ogłosili sprawozdanie, w którém uwydatnili zalety urządzenia szkół pruskich, celem wprowadzenia podobnych reform w szkołach tutejszych. Broszura p. Kawczyńskiego przedstawia odwrotną stronę medalu. Obie te prace, sprawozdanie pp. Benoniego i Samolewicza tudzież rozprawa p. Kawczyńskiego razem wzięte i porównawczo zestawione, uzupełniają się wzajemnie, i w téj dopiero całości przedstawiają dokładnie system zasadniczy, organizacyę i stan rzeczywisty obecny szkół pruskich.

Wystawa obrazów kończy się w tym miesiącu Po jéj zamknięciu nastąpi niebawem losowanie dzieł zakupionych przez Towarzystwo do wylosowania między akcyonaryuszów. Zakupiono w tym celu dzieł dwanaście za summę 1400 guldenów, co jest jak na nasze stosunki kwotą dość znaczną i powinno artystów przychylnie dla wystawy lwowskiéj usposobić, przekonywają się albowiem, iż prace ich znajdują tutaj ocenienie i nabywców. Pomiędzy nabytemi do wylosowania znajduje się znana Warszawianom z waszéj wystawy sztuk pięknych *Wanda* Gersona, śliczny obrazek Brochockiego z Mnichowa *Wiosna*, jeden krajobraz Grabowskiego, jeden pani Baar z Wiednia, Gryglewskiego *Sala w zamku w podhorcach*, akwarella Tepy *Arabowie pod palmą*, Kozakiewicza rzeźba *Chrzest Chrystusa*, Barącza medalion porcelanowy przedstawiający wybornie modelowane popiersie Ryszarda Wagnera i t. d.

Pięć obrazów i jedną rzeźbę zakupili prywatni za summę łączną 810 guldenów. Summa nie wielka, widać, że ubodzy jesteśmy i nie stać nas na mecenasów; chociaż nie brakłoby zamiłowania gdyby nie okoliczności zmuszające do obliczania się ściśle z tém co jest konieczną potrzebą, a co zbytkowym przedmiotem zamiłowania. Mecenasi poskąpieli—a gmin radby ale nie jest w stanie. I owoż przyczyna małego pokupu dzieł sztuki. Zakupiono Kossaka obraz przedstawiający konia na pobojowisku nad poległym jeźdźcem znany pod nazwą: *Ostatni przyjaciel*, i tegoż akwarellę: *Wyścigi w Krakowie* zdjętą z natury, Gryglewskiego prześliczny obraz architektoniczny wnętrza kościoła *Marja Stiegen w Wiedniu*, Bryniarskiego *Wnętrze krużganków klasztoru franciszkańskiego w Krakowie.* Dochód tegorocznéj wystawy przyniósł brutto około 2,000 guldenów i przyniósłby jeszcze więcéj, gdyby obraz Matejki mógł dłużéj pozostać, lecz musi on być z końcem bieżącego miesiąca odesłany do Krakowa na wystawę, którą tam kilku malarzy urządza, spólnie z Matejką, niezawiśle od tamtejszego Towarzystwa sztuk pięknych.

MIASTO GDAŃSK.

Gdańsk miasto główne regencyi tegoż imienia w Prusach Zachodnich z portem handlowym i twierdzą pierwszego rzędu, należy do nader starożytnych sadyb lechickiéj sławiańszczyzny. Świętopełk II książe pomorski panujący od roku 1227 do 1266 dał pierwszy początek germanizacyi miasta, panujący po nim ks: Mestwin na oścież już otworzył bramy miasta napływającym zewsząd Niemcom, które w roku 1793 bezwarunkowo przyłączone zostało do Pruss. Powierzchowność miasta nosi na sobie cechy kilku wieków, zabudowane dość ściśle ma wązkie uliczki. W ogóle posiada 6172 domów, między któremi wyróżnia się znaczna liczba tak pod względem struktury jako i rozlicznych wspomnień historycznych.

Najpiękniejszą ze wszystkich jest ulica Długa (Lange gasse) całe miasto przerzynająca zakończona starożytną wieżą z bramą wjazdową. Wybudowana z piaskowca w roku 1588 została odnowioną w r. 1861 wedle planu umieszczonego na str. 622 Wieńca. Front tego wspaniałego gmachu zdobią u szczytu herby polskie i pruss zachodn. Z liczby 22-ch kościołów szczególniéj odznacza się wspaniałością i wielkością niegdyś farny, rzymsko-katolicki a dziś ewangelicki, Panny Maryi, wystawiony w r. 1343 a ukończony ostatecznie dopiero w r. 1503. Mieści on w sobie jedno z arcydzieł sztuki malarstwa, obraz *sądu ostatecznego* w osobnéj kaplicy zachowany, pędzla Jana Memmlinga, najcelniejszego malarza szkoły niderlandzkiéj. Między innemi gmachami publicznemi wyróżnia się ratusz w stylu gotyckim zbudowany pośród obszernego rynku, wewnątrz poważnie ozdobiony, z wysoką wieżą, jest miejscem posiedzeń magistratu i archiwum akt poczynających się od XIII wieku nader ważnych dla dziejów polskich i pruskich. Niedaleko ztąd wznosi się giełda zwana *Artushoff* zbudowana w r. 1730 z posągiem króla Augusta III Do starożytnych również budowli należy arsenał wystawiony w r. 1605.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

STANOWISKO AKTORA W SPOŁECZEŃSTWIE. (*)

Nie ma już dziś miasta wśród ucywilizowanych państw Europy, któreby aktorom odmawiało pogrzebu na cmentarzu i religijnéj pociechy; odznaczającym się talentami panowie otwierają drzwi swoje, w krajach konstytucyjnych powierzają urzędy miejskie, monarchowie znakiem wynagradzającym zasługę ozdabiają ich piersi; a więc równouprawnienie, bezpieczeństwo dobrobyt i ordery! Czegoż przeto brak do zupełnego wyswobodzenia? Wykazania wewnętrznéj godności tego stanu, jaką widzimy w dziełach pożytku i piękna, tego szlachectwa którego udzielić nie można.

Czy aktorowie posiadają tę godność która przepełnia w mieszczańskiém życiu najdrobniejszego rzemieślnika, godność, która za jego pracę obdarza go bezpieczeństwem i spokojnością ze wszystkiemi przysługującemi im prawami? Jednostka? tak; stan? nie. Dla czego nie? Ponieważ dotąd ten i ów aktor dopełnił społecznéj rehabilitacyi, wrócił do czci i sławy, stan jednak jako całość nie dokonał jeszcze zadania.

Godność stanu dotychczas nie wykazana, jednakże nie powiedziano, aby natura tego stanu wyłączała ją. Nieszczęściem wszędzie napotykamy paryów religijnych i socyalnych; dla dowodu nie potrzebujemy sięgać aż do Indyj.

Kreśląc obraz niniejszy, postanowiliśmy szukać źródeł panującego dotąd przesądu, we wszystkich jego przemianach, aby otworzyć pełny nadziei widok w lepszą przyszłość. Usiłowano dowieśdź wielokrotnie, że przesąd przeciw aktorom powstał dopiero z wprowadzeniem religii chrześciańskiéj, ponieważ od najdawniejszych czasów duchowieństwo powstawało żarliwie na uczęszczanie do teatrów; jednakże są dowody, że chrześciaństwo przesąd ten zupełnie wykształcony otrzymało w spadku po starożytnych i do dziś jeszcze pozbyć się nie może tego smutnego dziedzictwa.

Jeżeli zwrócimy wzrok na ludy, których dzieje uprzedziły Greków, znajdziemy u Chińczyków i Indyan dramata, których forma, zwłaszcza u ostatnich, w najodleglejszéj przeszłości doszła wysokiego wykończenia. Zwykle kreślone z po-

(*) Według Adolfa Szwarza. ,,Deutsche Warte."

dań mają najszlachetniejsze myśli zasadnicze za podstawę. Ale ponieważ Chińczyk w swoich dramatycznych sztukach zajmuje się zwykłemi codziennemi wypadkami, przeto aktora grającego u nich zaliczają do kuglarzy; przeciwnie aktor w Indyach, należąc do kasty kapłanów, używa najwyższego odznaczenia i godzien tego; potrzeba bowiem znakomicie być wykształconym, aby w zamarłym już sanskrycie, dziełami jak Sakuntala, Kalidasa, lub pół-liryczną, pół-dramatyczną poezyą Gita Hovinda Jayadewy zająć słuchaczy. Aktor indyjski należąc do kasty, już tém samém wolny był od wszelkiéj zmazy, podniosło go to jeszcze, że przedstawienia należały do czci religijnéj.

Podobnież i w Grecyi za czasów Eschylosa i Sofoklesa, aktorowie byli w wielkiém poszanowaniu, ponieważ teatr był pod opieką państwa, a dramat stanowił rzeczywistą część służby religijnéj ku czci Dyonizosa. Wiemy, że poeci grywali sami w swoich sztukach, bez najmniejszéj ujmy obywatelskiéj ich godności. Eschylosowi zawdzięcza Grecya poznanie helleńskiéj narodowości, poczucie religijne, moralność wyniesioną nad zwykłe skłonności, sposób myślenia silny, energiczny i wspaniały pogląd na świat; drugi wzruszył wysoko wykształcony lud Peryklesowy obyczajową czysto ludzką wielkością swoich bohaterów, walczących z nieprzepartą losów potęgą. Z Eurypidesem, który z obiektywnego pola natury przeniósł tragedyę w sferę zastanawiającego się głęboko rozumu i subiektywnéj tkliwości, zaczyna się także upadek sztuki i aktorów. Ośmielamy się bowiem utrzymywać wbrew zdaniu wielkiego Szyllera, który wyrzekł: „gdzie sztuka upadła, upadła z winy artystów", że zdanie to jest bez zarzutu o tyle, o ile sztuka jest owocem wytwarzającego ją artysty. Ale często fałszywie oddzielają pojęcie o sztuce, czyli poezyi, od odpowiedniego artysty, to jest poety, gdy tymczasem za artyzm w dramatach czynią odpowiedzialnym aktora, jak gdyby on był winien, że złe sztuki piszą.

Za Eurypidesa potrzebowano do przedstawień licznego personelu, i tak szybko wzmagało się zepsucie obyczajów, a z niém i upadek wartości aktorów w oczach współobywateli, że Sokrates w r. 436 przed Chr. uznał histryonów za najgłupszą klassę ludzi, którym dobro Ateńczyków było zupełnie obojętne. Plato zalicza ich do najemników; Arystoteles nazywa aktorów złymi i rozpustnikami, że się nie zajmowali ani nauką, ani filozofią. Demostenes, którego działalność upadła z nowszą komedyą, swojemu współzawodnikowi Eschinesowi odmawia prawości w sposobie myślenia, dla tego, że był kiedyś aktorem; aby dowieść dwuznaczności jego sławy, oskarżając aktora Timarcha, wskazuje Eschinesa, że przekupiony wykonał fałszywą przysięgę. Plautus zarzuca kuplerstwo Philomenowi.

Greckie dramata, pomimo usiłowań Heroda W-go, i Heroda Agryppy, nie mogły ustalić się u Izraelitów. Philo uważał je za szkodliwe. Plutarch wspomina prawo zakazujące pisania komedyj ateńskim senatorom.

Rzymianie, których zmysł oddany praktyczności nie dozwolił duchowemu ich wykształceniu wedrzeć się na stopień greckiego wykształcenia umysłowego, przenosili szermierkę i walki zwierząt nad dramatyczne zabawy i wyścigi. Ani tragedya, ani komedya, nie mogły się wcisnąć w ich życie narodowe. Nie trudno przeto odgadnąć, że od początku pogardzano histryonami, wyłączano ich z cechów i zgromadzeń przemysłowych, pozbawiano praw obywatelskich.

Wyjątek stanowili tylko mający udział w igrzyskach; ale te improwizowane „*saturas*" lub „*satyras*" zastrzegła sobie szlachetna młodzież rzymska jako monopol przeciw aktorom z professyi. Z téj przesądów pomroki prześwieca jak gwiazda jedno tylko imię aktora Roscyusza, nauczyciela wymowy i przyjaciela Cycerona, lubo i ten chwaląc go, mówi o nim z pewnym żalem: „Jakkolwiek Roscyusz jest tak wielkim aktorem, że sam tylko zdaje się godzien być widzianym na scenie, przecież w zamian posiada tak szlachetny charakter, że sam jeden tylko zdaje się godnym, aby nie występował na niéj nigdy"

I Waleryusz Maximus oddaje Roscyuszowi największe pochwały mówiąc: Każdy jego ruch jest obmyślany, wyrobiony i nie jemu sztuka dramatyczna zaszczyt przynosi, ale on sztuce dramatycznéj; lud kochał go, a panowie przypuszczali do poufałości. Lecz zaszczyt ten spotkał tylko jego i kilku znakomitszych aktorów, wyróżniających się pilnością i nauką. Jakkolwiek niemoralność pomiędzy histryonami coraz silniéj się szerzyła, co w paryach towarzystwa wydarza się zawsze, przecież za Cesarstwa położenie ich tak się zmieniło, że uznano za konieczne ukrócić przestawanie szlachty z aktorami. Lel. Wiscyola w swoich „Wolnych chwilach" tak pisze o tém: Histryonowie w mieście tak byli swobodni, że przedpokoje ich jak magnatów były przepełnione; nie tylko rycerstwo, lecz i senatorowie chodzili z niemi bez przerwy po ulicach. Tacyt w Rocznikach wspomina prawo téj treści: „Senator nie powinien wchodzić do domu aktora, wojskowi nie powinni z aktorami chodzić po ulicach, aktorom tylko na teatrze ukazywać się dozwolono."

Położenie aktorów od Augusta do Heliogabala zmieniało się ciągle; raz je ograniczano zupełnie, to znowu było swobodniejsze. W ogólności pod cesarzami byli lepiéj widziani; niektórym powierzano nawet wysokie honorowe godności. O Witelliuszu czytany w Swetoniuszu: Słuchał rad i kierował się po większéj części zdaniem najpośledniejszego z histryonów i stangretów." O Wespazyanie mówiąc, zapewnia: że tragikowi dał 40,000 sestercyj (1,000 wyrównywało 45 rublom), grającym na cytrze Terpnusowi i Dyodorowi 200,000, niektórym innym po 100,000 dawał oprócz wieńców złotych." Herodyan pisząc o Heliogabalu, wspomina: „Dał się tak dalece powodować, że najwyższe godności państwa powierzał aktorom; jednemu z nich oddał wychowanie następcy, innego umieścił w senacie, zaś innych w stanie rycerskim."

Jednakże pomimo tego odznaczenia, lud przyjmował aktorów jak pierwéj oklaskami, jeżeli na to zasłużyli. Według Owidyusza i na oklaski były przepisy: „Wśród powszechnego zadowolenia, milkły umyślnie radosne okrzyki, wieńce, podarunki, korony, posągi, napisy były nagrodą, a tupanie nogami, pianie kogucie, rzucanie kamieniami, nawet chłosta były karą. Ostatnią wymierzała władza za złą grę lub złe prowadzenie się. Według Swetoniusza August na żądanie pretora, kazał Hylosa w przysionku swojego domu obiczować w obec wszystkich.

(*d. c. n.*)

ROZMAITOSCI.

— Wiadomo mniéj więcéj każdemu, że nie sam ks. Bismarck pracował nad dziełem jedności niemieckiéj; dopomagali mu publicyści, historycy, poeci, artyści, a nawet gimnastycy, jak dziś to samo robią dla zjednoczenia Niemców austryackich z wielką ojczyzną niemiecką. Nie zaszkodzi jednakże wspomnieć jeszcze o jednéj podobnéj robocie, o któréj może nie wszystkim wiadomo. Mówimy tu o kolosalnéj statui pogromcy legionów rzymskich pod Warrusem, owego słynnego Arminiusza czyli Hermana, który żył za czasów największego rozczłonkowania plemienia niemieckiego na drobne ludki przerozmaitego nazwania, a który dzisiaj ma służyć światu za wyobraziciela niemieckiéj jedności. Nad posągiem jego kującym się z miedzi, a mającym mieć *dziewięćdziesiąt* stop wysokości, pracuje Józef Ernest von Bandel już od roku 1846, zatém przez lat 26, nie licząc przygotowań do pracy, które już się prowadziły od r. 1838. Obecnie dzieło poczwarnéj wielkości jest już prawie gotowe, i twórca jego ma nadzieję, że w lecie roku przyszłego pomnik stanie na miejscu przeznaczenia w uroczysku historycznem, noszącém nazwę Lasów Teutoburskich. Sprawozdawca niemiecki, z którego tę radosną wiadomość bierzemy, ubolewa tylko, że 40,000,000 Niemców długo nie mogło się złożyć na 40,000 talarów dla wykonania tak wielkiego dzieła narodowego; musiano odwoływać się nawet do młodzi szkólnéj, by zebrać potrzebne na budowę fenigi. Rzeczywiście niepięknie: wszak to na głowę niemiecką czyniło nie więcéj nad tysiączną cząstkę talara.

— „Wielkobrytańskie Stowarzyszenie Szachowe" ogłosiło wielki konkurs „międzynarodowy" na zadania szachowe, czyli tak zwane łamigłówki. Każdy współzawodnik powinien przysłać pięć zagadnień oryginalnych, a mianowicie: jedno dwucugowe, dwa trzycugowe i dwa cztero lub pięcio-cugowe. Nadsyłać można z Europy do 1 lutego 1873. Nagród jest dziesięć od 24 do 4 fst. Adres: „Mr. J. Löwenthal Esq. Manager of the British Chess Association. 28 Camden Row. London. N. W."

Na rzecz rodziny **Moniuszki** nadesłali: P. Sawicka Jadwiga rs. 6, P. Neyman Zofia rs. 1, jak w Nr. 61 ogłoszono, nadesłano rs. 4, Redakcya Wieńca rs. 25, razem rs. 36, którą to summę złożyliśmy w Dyrekcyi teatrów pod dniem 19 Sierpnia r. b.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 10 (22) Августа 1872 г. **Redaktor**, Mieczysław Orgelbrand **Mag. Pr. i Adm.**

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.